



Dawid
Wildstein

Homo tuskus, homo putinus

Jeśli trochę poskrobać, okaże się, że typ mentalności, „szkielet” tożsamości, jaką usiłuje Platforma narzucić swojemu elektoratowi, jest zadziwiająco podobny, mimo że wypełniany zupełnie innymi ideami, do prania mózgow, które ma miejsce w Rosji. Że wielbicielowi Putina bardzo blisko jest, w sposobie postrzegania świata, do wyznawcy Donalda Tuska. Że homo tuskus w wielu sprawach z homo putinus błyskawicznie się dogada...

PUBLICYSTYKA

Potężne poparcie wśród Rosjan dla Putina wywołało, w kontekście wojny na Ukrainie, prawdziwy wysyp najrozmaitszych analiz, tego, kim właściwie jest człowiek, który akceptuje, często wręcz wielbi rosyjskiego dyktatora. Jaka konstrukcja psychiczna, tożsamość, poglądy powodują, że mimo mordów na Ukrainie, gigantycznych strat rosyjskich i sankcji uderzających bezpośrednio w Rosję, jej mieszkańcy są wciąż zadowoleni ze swojego przywódcy? Warto więc pokrótce opisać postać „typowego Rosjanina”, jaka ze wspomnianych analiz i wypowiedzi się wyłania. Praktycznie zawsze na pierwszy plan wysuwana jest kwestia „imperium”. Przeciętny Rosjanin, ten homo putinus, jest w stanie znieść bardzo wiele, prawie wszystko, jeśli w zamian dostaje poczucie bycia częścią prawdziwej potęgi. Wspomnianego imperium, przed którym drżą słabsi, które jest w stanie upokorzyć wroga. Nieważny jego los, jego praktyczne życie, liczy się tylko ta fantomowa, nierealna wspólnota, która, karmiona jego kompleksami, staje się najważniejsza, przesłania wszystko inne. I na tym najgłębszym poziomie okazuje się, że wyznawcy Putina zadziwiająco blisko jest do wyznawcy Donalda Tuska.

Synowie imperium

Jeśli bowiem przebić się przez skorupę deklarowanych idei, odsunąć na bok patetyczne odezwy i wartości, którymi członkowie kolejnych KOD-ów, Obywateli RP czy innych tego typu organizacji regularnie wycierają sobie usta, okaże się, że typowy leming bardzo tego typowego Rosjanina przypomina. W obu wypadkach następuje bowiem to samo przesunięcie refleksji politycznej z poziomu praktyki na poziom misji. Wokół niej następnie wytwarzana jest nowa wspólnota, która jest jakościowo lepsza od tego, co dotychczas ją otaczało. Nieważne, jak mi jest źle, jestem gotów nawet głosować przeciw własnemu, bezpośrednio interesowi, najistotniejsze, żeby czuć się jej częścią. Ważne, że jestem Europejczykiem, fajnym Polakiem, kimś, kto nie ma nic wspólnego z głosującą na PiS hordą troglodytów z małych miejscowości, beneficjentów 500 plus. Fakt głosowania nie jest już działaniem, które ma poprawić moje życie tu i teraz, wybór polityczny przestaje być dyktowany moim żywotnym interesem, za to staje się wyznacznikiem czysto iluzorycznej pozycji, atrybutem, który pozwala przynależać do tej „ważniejszej” grupy społecznej. W ten sposób tworzy rodzaj tożsamości aspira-



cyjnej, która nie ma związku z tym, w jakim realnie świecie żyje, lecz pozwala poczuć się członkiem silniejszej wspólnoty, oczywiście w znacznej części absolutnie wyimaginowanej. U Rosjan jest to przynależność imperialna, bycie ponad słaby, zdradziecki, zdegenerowany Zachód.

Co ciekawe, wśród naszych wyznawców Tuska i Platformy kwestia imperium jest równie istotna. W wypadku leminga zostaje ona jednak „wypchnięta” na zewnątrz. Inaczej niż u Rosjan, tutaj przynależność do imperium jest warunkowana odrzuceniem własnej, pierwotnej wspólnoty. Cel jednak jest ten sam. Leming wybiera tych, którzy, jego zdaniem, są silniejsi. Dokładnie jak wyznawca Putina, chce być po stronie tych, którzy zwyciężą, tych, którzy właściwie rozpoznali współczesność, z dala od tych reprezentujących to, co anachroniczne, oderwane od bieżącej historii. Nie



chce mieć nic wspólnego z PiS-em, który (stały element lemingowej retoryki) „podskakuje” do silniejszych z Unii. Prowokuje ich. Sposób widzenia świata leminga i zwolennika Putina okazuje się zadziwiająco zbliżony. Przecież ten drugi właśnie dlatego stoi po stronie swojego imperium, bo to ono właściwie odpowiada – w przeciwieństwie do słabego, ślepego, prowokującego Rosję Zachodu – na wyzwania, jakie niosą obecne czasy, to ono wie, jak naprawdę wygląda świat. Jasne, leming wybiera Brukselę bądź Berlin, homo putinus zaś Moskwę, ale powody ich wyboru, emocje, jakie za nim stoją, są te same.

Nieważny rodak

Okazuje się, że mimo deklaratywnej skrajnej różnicy w doborze idei, to sposób ich wprowadzania w „życie” jest bardzo podobny, równie więc niebezpieczny. Prowadzi

do tego, że jednostka zostaje związana z daną siłą polityczną poprzez poczucie bycia częścią fantomowej wspólnoty. Staje się rozhisteryzowana i niezdolna do właściwego określania rzeczywistości. Nie rozpoznaje już świata wokół niej, rezygnuje z własnego interesu, wystarczą jej tylko odpowiednio głośne slogany. Ta jednostka dzieli w iście manichejski sposób świat. Jej oponenti, stojący z jej perspektywy po stronie zła i słabości, nie mają prawa głosu. Ktoś, kto przynależy do zgnilizny Zachodu, torpedującej imperium rosyjskie, albo do brunatnej fali starej, obmierzłej, prymitywnej tradycji i katolicyzmu, która torpeduje wielką Unię Europejską, nie może być przecież jakimkolwiek partnerem do debaty politycznej. W obu też wypadkach najmniejsza nawet krytyka imperium okazuje się zdradą ostateczną. Dlatego leming, żyjący w ciągłej perspektywie

ostatecznego boju zła z dobrem, jest gotów, dokładnie jak homo putinus, w imię „wyższych celów” zaakceptować największe nawet patologie.

Szczególnie mocno widać to było w wyborach samorządowych, gdzie w większości przypadków PO zrezygnowała zupełnie z debaty programowej na rzecz starcia ideowego. Przeciwstawiano „wielkie” „europejskie” miasta marnej Polsce B. Zdarzało się nawet, że wprost pojawiały się deklaracje wśród wspierających PO najrozmaitszych „autorytetów” i „intelektualistów”, że może Platforma to korupcja i złodziejstwo, ale nie wolno pozwolić przejść faszystowemu (przy okazji warto zauważyć, że ta ciągle antyfaszystowska retoryka też jest podobna do rosyjskich standardów propagandowych). Zresztą ta bagatelizacja jak najbardziej realnego, bezpośredniego zła w imię „wyższego celu” to naturalna konsekwencja przyjęcia wspomnianej manichejskiej postawy względem świata, znów bardzo zbliżająca homo tuskus do homo putinus. W obu wypadkach następuje też przeniesienie zobowiązań moralnych, jakie jednostka ma wobec realnej wspólnoty, na rzecz tej iluzorycznej. Leming już nie musi martwić się losem tych, których tak nienawidzi za 500 plus czy inne prospołeczne działania PiS-u. Więcej, może nawet głosować tak, żeby im zaszkodzić, właśnie w imię tego imperium, którego czuje się częścią. Analogiczna anomia społeczna cechuje też społeczeństwo rosyjskie, jego „obywateli”, dla których ważniejszy jest „imperialny” status państwa niż los rodaka.

Fantomowe państwo

Wspomniana fantomowa wspólnota powoduje, że i samo państwo staje się fantomowe. Okazuje się, że lemingowi i Rosjaninowi wystarczą pozorne symbole statusu danego państwa. Kwestia tego, czy jest realnie silne, to rzecz zupełnie drugorzędna. Nieważne więc, czy państwo jest wewnętrznie sprawne. Czy faktycznie „działa”, wypełnia swoje podstawowe obowiązki, które ma względem obywateli. Ważne za to, żeby miało „prestż”, było „szanowane”. Ono oczywiście ma być silne, a jego siła jest oceniana tylko w odniesieniu do pustych, właśnie w pewien

sposób „fantomowych” gestów. Oczywiście będzie to inaczej „ubrane” u leminga i u Rosjanina. Pierwszy potrzebuje głaskania po głowie przez Merkel, zapraszania na paryskie salony. Łaknie oklasków w Brukseli, niemieckich nagród dla polskich polityków. Dopiero wtedy czuje się częścią tej bezpiecznej, silnej całości, uważa, że Polska jest na właściwym miejscu. Rosjanin za to

suwerenności, wolności, bycie unijnymi obywatelami drugiej kategorii. Bycie państwem, z którym silniejsze, w obrębie nowej Unii, będą mogły robić, co chcą, że musimy im oddać nasz majątek narodowy. Niewiele różni się to od rosyjskiej świadomości, że w imię bycia częścią potęgi trzeba zaakceptować własną słabość, swoją podrzędność.

czuł się spadkobiercą wieków europejskiej kultury, w której uczestniczyła jego rodzina, z radością szukał śladów dawnego imperium. W Wiedniu było jak w domu, niestety nasz biedny publicysta wrócił i trafił na mszę papieską, na ten wytwór strasznej ludowo-religijnej Polski, której nigdy nie zrozumie i która zawsze będzie mu obca. Pomijając ordynarny klasizm, jak widać typowy dla naszej pseudolewicy, najbardziej uderza w tym tekście połączenie kompleksów z potrzebą budowania tożsamości poprzez dystynkcję. Po raz kolejny okazuje się, że nasze elity i postępowcy, jeśli gdzieś czują się obco, to w tej strasznej Polsce. Że wyrastają ponad ten kraj, że daleko im do polskich miast. W tym groteskowym tekście publicyście „GW” nie chodziło zresztą konkretnie o Wiedeń. Można w mieście stolicy Austrii wstawić Rzym, Londyn, Paryż – cokolwiek. Chodzi tylko o to, żeby pokazać, jak się wyrasta ponad swoją wspólnotę narodową. Oni po prostu muszą się czuć lepsi. Robią to, uznając siebie za część fikcyjnego, wymyślanego, potężnego Zachodu. Pozwala im to patrzeć z pogardą na innego człowieka. Tutaj synowie imperium, tam reszta, ci obcy, słabsi, gorsi. Tutaj reprezentant Europy i wieków jej triumfów, tam prymitywny Polaczek, uczestniczący w papieskich mszach. Tym, co ich wypełnia, jest infantylne marzenie, żeby być częścią czegoś większego i budowana na tej podstawie pogarda do innego człowieka. Rosyjski wyznawca Putina patrzy w ten sposób na tych, którzy są poza granicami jego państwa. Homo tuskus na własnego rodaka, na tego, którego spotka na poczcie, w kawiarni, jadąc autobusem czy pociągiem. Ale spojrzenie jest to samo i tyle samo w nim nienawiści. **GP**

Przeciętny Rosjanin, ten homo putinus, jest w stanie znieść prawie wszystko, jeśli w zamian dostaje poczucie bycia częścią prawdziwej potęgi. Imperium, przed którym drżą słabsi, które jest w stanie upokorzyć wroga.

chce złotych draperii w komnatach kremlofskich, wielkich defilad i gigantycznych sztandarów oraz, rzecz jasna, dużej ilości pagonów, ale zasada jest ta sama i w obu wypadkach prowadzi do tej samej patologii. W imię tego czysto powierzchownego prestiżu, pustej symboliki, następuje rezygnacja z oczekiwań względem władzy, żeby działała ona w sposób, który realnie może państwo wzmocnić. Przecież ani Polska Tuska nie była potęgą, ani Rosja Putina żadnym imperium nie jest. Więcej, w obu wypadkach mamy do czynienia (w kontekście Putina mowa o ostatnich latach) z drastycznym obniżeniem realnej siły i bezpieczeństwa Polski i Rosji. Prowadzi to do ciekawego połączenia owej „imperialności” z impostsybilizmem i defetyzmem. W zamian za bycie częścią czegoś większego musimy zaakceptować naszą słabość. Świadomość, że nic się nie zmieni, że musimy pogodzić się z własną marnością. Rosjanin zaakceptuje brak towarów w sklepie, skorumpowane państwo – złodziejstwo i bandyterkę, brak pieniędzy. Podobnie potęga u leminga jest też immanentną słabością. Jej cechą podstawową jest akceptacja, że się jest gorszym. Że nie możemy nawet myśleć, żeby odrzucić jakiś brukselski pomysł, nieważne, jakie będą jego konsekwencje. Że nie wolno nam oczekiwać realnie partnerskiego traktowania. Że musimy zaakceptować stratę

To samo spojrzenie

Za puentę tego tekstu można uznać reakcje polityków, publicystów czy też „intelektualistów” związanych z totalną opozycją, na słowa Kaczyńskiego, który stwierdził, że podczas pobytu w Wiedniu w 1989 roku poczuł się tam „obco kulturowo”. Wojciech Mucha ładnie określił je mianem „wiedeńskiej reakcji Pawłowa”. Mieliliśmy więc peany na temat wspaniałości Wiednia, który, jak się okazało, znają oni jak własną kieszeń. Pompatyczne opisy, w jakich to oni miejscach bywali, jakimi są koneserami i konsumentami sztuk najwyższych, z wiedeńską filharmonią i kuchnią na czele. Warto tu przytoczyć tekst jednego z regularnych publicystów „Gazety Wyborczej” i „Krytyki Politycznej”, który wprost stwierdził, że w Wiedniu było mu lepiej niż w Polsce. Chodząc po austriackiej stolicy,

Sprostowanie

W związku z opublikowaniem w dniu 24.08.2022 r. artykułu pt. „Muzeum Bitwy Warszawskiej wciąż w budowie, a Łuku Triumfalnego nie będzie”, autorstwa Grzegorza Wszółka („Gazeta Polska”), Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego informuje, że Muzeum Józefa Piłsudskiego nie jest inwestycją skromniejszą od Muzeum Bitwy Warszawskiej.

Anna Pawłowska-Pojawa
Dyrektor Centrum Informacyjnego
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego